

Po upadku „Starówki” - relacja sanitariuszki

Koniec sierpnia 1944 r. Warszawskie Stare Miasto broni się jeszcze przed zacieśniającym się stopniowo i systematycznie pierścieniem wroga. Niemcy nacierają ze wszystkich stron: od Żoliborza, od Wisły, od Placu Teatralnego, od Woli. Powstańcze oddziały, zdziesiątkowane, pozbawione broni i amunicji, żywności i snu, w stadium krańcowego wyczerpania, nie są zdolne do skutecznego odpierania niemieckich ataków. Jak tu stawić czoło broni pancernej, samolotom, czołgom? Nie udała się próba przerwania pierścienia nieprzyjacielskiego w nocy z 30 na 31 sierpnia i przebicia się „górami”. Zdecydowano więc ewakuować wojsko i lżej rannych, mogących jako tako iść - kanałami do Śródmieścia ewentualnie na Żoliborz. Ludność cywilna oraz wszyscy ciężiej ranni pozostaną na Starówce. Taki jest rozkaz dowództwa. Droga kanałami, niepewna i trudna, nie może zostać zablokowana dlatego tylko, że ktoś z wyczerpania straci przytomność, umrze, czy nie będzie w stanie iść dalej. Z rannymi nikt nie zostaje. To także rozkaz dowództwa. Nie stać nas na dodatkowe ofiary. Sanitariuszki będą potrzebne w dalszej walce w Śródmieściu. Prawo wojny jest okrutne, nieludzkie, bezpardonowe. Jakże trudno się z tym pogodzić. Kilka z nas deklaruje pozostanie z rannymi. Spotykamy się z odmową por. „Prokopa”. Sumienie jednak oraz zwykłe poczucie obowiązku jest silniejsze od ślepego posłuszeństwa rozkazom. We dwie z „Janką” porzucamy grupę sanitariuszek oczekujących na przejście kanałami do Śródmieścia i powracamy około 2-jej w nocy na Kilińskiego 1, gdzie w piwnicy razem z sanitariuszką „Wisią” i panią Ireną Faryaszewską, matką poległej przed Trzema dniami Ewy pozostali ranni: „Stasiuk”, „Robert”, „Klecha”, „Ikar” oraz Kazia Świdorska, koleżanka Ewy. Kilku innych ciężko rannych kolegów, m.in. „Lot” i „Faliński” znajdują się w szpitalu na Długiej 7.

Noc z 1-go na 2-go września jest pełna niepokoju i oczekiwania. Wiemy, że poszczególne oddziały opuszczają placówki i schodzą kolejno do kanałów na Hipotecznej, Długiej, pl. Krasińskich. Lada chwila należy się spodziewać Niemców. Jeszcze wczoraj starałyśmy się

dowiedzieć, jak zachowują się oni w stosunku do ludności cywilnej i rannych. Relacje były sprzeczne, niemniej wierzymy, a właściwie chcemy wierzyć, że rannych nie mordują. Ich liczba tutaj, na Starówce, jest tak wielka, że rozmiary ewentualnej masakry wydają się nie do ogarnięcia nawet wyobraźnią.

Nasi chłopcy starają się zachować spokój, są opanowani. Obecność aż trzech sanitariuszek podnosi ich na duchu. Wszyscy poprzebierani w cywilne ubrania, zaopatrzeni w odpowiednie dokumenty, ułożeni na noszach, gotowi są w razie czego do drogi. My, kobiety, mamy także na sobie już nie „panterki”, a cywilne stroje, co prawda dość przypadkowe i niedopasowane do naszego wzrostu i tuszy. Janka w mojej poszarpanej spódnicy (dzięki temu, że rozdarła, w ogóle się w nią „wbija”), okręcona dla przyzwoitości prześcieradłem, ja w dziewczęcej jedwabnej sukience sięgającej mi powyżej kolan - wyglądamy śmiesznie i nieco dziwacznie.

W domu na Kilińskiego 1, którego piwnice zajmujemy, mieści się na pierwszym piętrze lokal naszej byłej kwatery, „wigrowskiej”, Trzeba zatrzeć po niej wszelkie ślady. Jest to mieszkanie prof. Hempla, obecnie zdemolowane, zawałone częściowo gruzem, z powyrywaniem futrynami drzwi i okien, ale cudem ocalałe. W poszczególnych pomieszczeniach walają się na podłodze „panterki”, mundury niemieckie - „fasunek” ze Stawek - i plecaki. Podczas kiedy Wisia pozostaje przy rannych na dole, my z Janką pakujemy w pośpiechu wszystkie te kompromitujące rzeczy do worków i ukrywamy w ruinach piwnic przeciwległego, wypalonego domu na Podwalu, wrzucając je przez dziurę w stropie. Tam około godz. 6-ej rano spostrzegamy pierwszych Niemców, idących od Placu Zamkowego. Zawracamy szybko do swoich i po chwili słyszymy dochodzące z podwórza okrzyki: „Raus, schnell.”

Ludzie pospiesznie wychodzą z piwnic, potulni, przestraszeni, obładowani tobołkami, walizkami. Dołącza do nich Janka, jedyna z nas trzech jako tako znająca niemiecki. Wraca po chwili. „Każą opróżnić piwnice, rannych należy wynieść. Na Placu Zamkowym mają sprawdzać dokumenty. Co dalej nie wiadomo. Dają 10 minut czasu. Wszyscy pozosta-

wieni w piwnicy będą na miejscu rozstrzelani”.

Nie wiemy co robić? Rannych jest pięciu. Nas trzy. W dodatku Wisia nie udźwignie nikogo sama. Jest za słaba. Nie możemy zdecydować się na zostawienie kogokolwiek. Albo wszyscy, albo nikt. Krótka wspólna narada z chłopcami, a potem z o. Tomaszem Rostworowskim, którego spotykamy z Janką na terenie szpitala, pomaga nam w podjęciu decyzji jedynej możliwej w naszej sytuacji. A więc zostajemy, ale wszystkich przenosimy do szpitala na Długą 7. W szpitalu tym znajduje się kilkuset rannych. Większość z nich to ludność cywilna, dużo kobiet i dzieci. Może między nimi uda się ukryć powstańców?

Częściowo parter i całe pierwsze piętro szpitala są wolne, gdyż na skutek ciągłych nalotów i pożarów wszystkich z góry usunięto do piwnic. Pomieszczenia zavalone gruzem szybko się uprzęta dla rannych znoszonych tu z okolicznych domów. Jeden z lekarzy (Edward Kowalski) przejmuje inicjatywę; organizuje personel z pozostałych pielęgniarek oraz kobiet cywilnych, zgłaszających się do pomocy. Te ostatnie mają tu przeważnie swoich najbliższych. Znajdują się nawet czyste, białe fartuchy, do których przyczepiamy opaski z Czerwonym Krzyżem. Zaprowadzamy pozorny „Ordnung”, który Niemcy sobie tak cenią. Chodzi o wywołanie wrażenia, że szpital ma wszelkie warunki, aby pełnić swoją rolę: zorganizowany personel, odpowiednią ilość leków i żywności. Istnieje. Działa normalnie. Nie może być mowy o jego likwidacji.

Chłopców lokujemy na I piętrze w drugiej sali od frontowej klatki schodowej, w najdalszym kącie od wejścia, aby nie rzucali się w oczy. Ich młody wiek, charakterystyczne rany postrzałowe nóg, mogłyby Niemcom nasunąć podejrzenie, że są powstańcami. Wszyscy leżą na noszach, obok siebie, przykryci kocami. „Wisia” pozostaje z nimi, a ja z Janką, zajmujemy się gromadzeniem żywności i materiałów opatrunkowych. Nie mamy pojęcia, jaki los nas czeka, ani jak długo tu pozostaniemy. Trzeba: się zaopatrzyć w najniezbędniejsze rzeczy. Trochę ich zostało na kwaterze naszego batalionu. Zdarza się, że jakiś Niemiec wtyka mi pudełko papierosów, inny butelkę wina ze słowami: „Fur Kranken”. Kilku mówiących świetnie po polsku, jak się

okazuje Ślązaków, prowadzi nas do opuszczonego punktu opatrunkowego na Kilińskiego 5 - i tu ładuje do podwiniętych fartuchów lekarstwa, bandaże, watę, mówiąc: „Szkoda, żeby się spaliło, a dla rannych się przyda.” Ich życzliwość ośmiela nas. Pytamy, co mają zamiar zrobić z rannymi?

Przebąkują coś o ewakuacji szpitala, ewentualnie o pozostawieniu go na miejscu. Jeden z nich mówi do mnie wprost „Ja jestem Ślązak, też Polak, niech się pani nie martwi, Polska i tak będzie.”

Są tacy, są i inni. A w ogóle mieszanina: kryminalistów, esesmanów, Ukraińców, żołnierzy Wehrmachtu. Zdarza się, że wpadają na sale, podchodzą do młodych, zrywają z nich koce, prześcieradła, przyglądają się twarzom. Wyraźnie poszukują powstańców. Domyślamy się, że mają rozkaz mordowania ich. Padają złowrogie pytania: „Sind Sie Bandit?”

Zwłaszcza jeden Ukrainiec wydaje się nam szczególnie groźny. Niewysoki, krępy blondyn, świetnie mówiący po polsku. Obserwujemy jego wyjątkowo brutalne zachowanie w stosunku do rannych. Ręka wyraźnie go „świerzbi”, widać to po pistolecie stale trzymanym w dłoni, z palcem na cynglu. Ten z całą satysfakcją pierwszy rozpocząłby masakrę, gdyby tylko dano rozkaz...

Serce zamiera, gdy zbliża się w naszą stronę. Staramy się zasłonić sobą chłopców przed jego złym spojrzeniem, siadając u ich noszy, zakrywamy ich twarze kocami. Niech nie widzi, ile mają lat. Tłumaczymy, gdy podchodzi bliżej, że to cywile. Nie bardzo nam dowierza.

O tym, że szpital jest szpitalem cywilnym, usiłują przekonać Niemców ojciec Tomasz Rostworowski i jeden z lekarzy (dr Kowalski), świetnie mówiący po niemiecku. Widać ich z okna I piętra, jak na podwórzu pertraktują z jakimiś, coraz to innymi, wysokimi oficerami.

Sytuacja początkowo niepewna, zaczyna się stopniowo wyjaśniać. Serce napełnia nadzieja. Skoro upłynęło tyle czasu od wkroczenia tutaj Niemców i poza pojedynczymi wypadkami rozstrzeliwania, nie było

masowej egzekucji, to chyba pogłoski o ewakuacji są prawdziwe. Może wszyscy ocaleją? W każdym razie ci, co znajdują się na terenie szpitala, wydają się względnie bezpieczni. Zbyt dobrze jednak znamy sytuację Starówki, żeby sobie nie uświadamiać, że poza szpitalem piwnice wielu domów są zawałone ciężko rannymi. Lżej ranni i ci, mogący jako tako iść o własnych siłach, przeszli kanałami do Śródmieścia ewentualnie na Żoliborz.

„Szczęśliwcy”, którzy mają przy sobie kogoś z rodziny, zostali już do szpitala przetransportowani. A inni? Pozostawieni bez żadnej opieki, sami się ze swoich barłogów ruszyć nie mogą. Sytuacja ich jest rozpaczliwa. Niemcy żądają opuszczenia piwnic, w przeciwnym razie grożą rozstrzelaniem. Podpalają miotaczami ognia kolejno wszystkie domy, nawet te częściowo rozwalone. Rannym grozi spalenie „żywcem”, w najlepszym wypadku śmierć od kuli bądź granatu.

Ludność cywilna w pośpiechu opuszcza swoje schrony. Na jej pomoc nie można liczyć. Tobołek z resztką ocalonego mienia ważniejszy dla nich od losu rannego.

Sanitariuszek jest tak niewiele na Starówce! Poczytujemy sobie za obowiązek niesienie pomocy do końca.

Zostawiamy Wigierczyków pod opieką Wisi i pani Ireny Faryaszewskiej, a same schodzimy na dół. Spod trupa tęgiej kobiety wyciągamy nosze. Ciało osuwa się z łoskotem. Na dziedzińcu Szpitala spotykamy ojca Tomasza Rostworowskiego. On też usiłuje ratować rannych, wyciągając ich z okolicznych domów i transportując do szpitala. Wydaje się jakiś zatroskany, roztrzęsiony. Zawsze imponował nam swoim niezwykłym opanowaniem.

Ojca Tomasza pamiętam z pierwszego okresu powstania, jeszcze na Barokowej, jak śpiewał wraz z nami wesoło żołnierskie piosenki; pamiętam go także jako odważnego i niesłychanie ofiarnego żołnierza, wynoszącego rannych spod obstrzału; pamiętam jako księdza odprawiającego „powstańcze” msze, przerywane niekiedy pociskami „szaf”, rozwalających mury prowizorycznej kaplicy; jako tego, który Krzyżem Świętym żegnał zmarłych, a rannym niósł pociechę ciepłym,

serdecznym słowem. To ojciec Tomasz w momencie odwrotu wojska ze Starówki, na propozycję przejścia do Śródmieścia kanałami, odpowiadał z całą stanowczością: „Nie!!! - nie opuszczę swoich rannych do końca!”

Ojciec Tomasz zatrzymuje nas. Wyczuwamy lekkie; drżenie w jego głosie, gdy mówi: „Dziewczynki, musicie iść na Kilińskiego 3, tam w oficynie leżą chłopcy od „Gustawa”; może wy coś wskóracie, ja sam nie jestem w stanie nic pomóc”.

Wychodzimy na Podwale. Front budynku Kilińskiego 3 jest rozwalony bombami. Do oficyny dochodzi się przez bramę i obszerne podwórko domu nr 1. Wszędzie kręcą się Niemcy, Ukraińcy. Budynek oficyny pali się od góry. Ogień obejmuje drugie i trzecie piętro.

Ojciec Tomasz wprowadza nas do pomieszczenia na parterze. Tłumaczy coś napotkanym Niemcom. Idziemy prosto długim korytarzem do kuchenki, mieszczącej się na jego końcu. Po lewej stronie, poprzez wywalone drzwi pomieszczeń, widzimy Niemców; wywracają szuflady, przetrzasają szafy, biurka, w poszukiwaniu cenniejszych rzeczy.

W niewielkiej kuchence leżą ranni. Dwóch na łóżkach na wprost drzwi, jeden z boku pod ścianą na materacu. Wszystko młodzi chłopcy w wieku 18-20 lat. Są unieruchomieni: ranni ciężko, przeważnie w nogi; obandażowani niemal do pasa. Jeden z nich („Firlej”) ma rękę i nogę „na szynie”. Nie reagują na brutalne słowa Niemców, którzy doskakują do nich z pistoletami. Na widok dwóch dziewcząt w białych fartuchach, z noszami pod pachą, przez twarze na moment przebiega iskra nadziei. Niemcy, a jest ich dwóch, również są zaskoczeni naszym nagłym zjawieniem się. Zadają głupie pytanie: „Po co żeście tu przyszły?” Janka odpowiada po niemiecku nie tracąc rezonu: „Jak to po co? Dom się nad nami pali, rannych trzeba wynieść. Mają się „żywcem” spalić, czy co?” Dowiadujemy się, że przed spaleniem zostaną zaraz, jako bandyci, rozstrzelani, a my możemy się wynosić, jeżeli chcemy zaoszczędzić sobie widoku...

Nie ruszamy się z miejsca. Janka tłumaczy, po niemiecku, że to cywile, uratowani spod gruzów zbombardowanego domu tuż obok. Wiek

chłopców i charakterystyczne rany postrzałowe przeczą tym słowom. Niemiec wścieka się: „Tak, u was wszyscy „cywile” i wszyscy spod gruzów”. Rzuca się w kierunku jednego z leżących podtykając mu pistolet maszynowy pod nos: „O, ty dobrze umiesz obchodzić się z tą bronią. Nieraz żeś do nas z tego strzelał. Hę? Ja wiem, wam to z samolotów zrzucali!” Chłopcy są jak skamieniali. Nie odpowiadają ani słowem. Nie próbują tłumaczyć się. Może nie znają niemieckiego?

Całą inicjatywę ich obrony przejmuje Janka. Ojciec Tomasz dawno się wycofał, aby ratować innych. Nie ma w słowach Janki ani prośby, ani błagania. Stara się przełamać upór szczególnie zawziętego podoficera SS rzeczowymi argumentami. Niemiec nie ustępuje, ale widać, że ta zażarta kłótnia zaczyna go bawić. Dwóch Niemców z sąsiedniego pokoju, zwabionych podniesionymi głosami, staje w drzwiach. Janka próbuje z innej beczki. Sili się na szelmowski uśmiech, trochę kpiący, trochę kokieteryjny. Na moment rozładowuje atmosferę, mruga do mnie. Niestety, każda nasza próba podejścia do któregokolwiek z rannych, aby go przenieść z łóżka na nosze, spotyka się z gwałtownym sprzeciwem. Walka toczy się już bardzo długo. Nie biorę w niej udziału. Nie umiem mówić po niemiecku. Stoję z boku. Patrzę na tych nieznanym mi chłopców tak, jakbym chciała zapamiętać ich twarze na zawsze. Nagle słyszę, że głos Janki zaczyna się załamywać. Czyżbyśmy przegrywały? Nie mogę

się pogodzić z myślą, że ci, których mam przed sobą, tak blisko, zostaną lada moment zamordowani, tu, na swoich posłaniach. Żal ściska gardło. Łzy wbrew woli napływają do oczu, wymykają się spod powiek. Staram się opanować wzruszenie. Odwracam się do okna. Nikt nie może spostrzec mojej słabości. Nagle słyszę niemiecki szwargot koło siebie: „Warum weinen Sie?” Nie rozumiem słów, mogę się tylko domyślać ich znaczenia. Potrząsam przecząco głową. Janka zrozumiała mój gest. Słyszę jej normalny, opanowany głos: słowa wypowiedziane po niemiecku: „Przecież ona wcale nie płacze, a łzy... ach, te łzy to tylko od dymu, którego pełno wszędzie... dym gryzie w oczy... toż cały dom się nad nami pali...”

Niemiec spogląda na nas dziwnie, a potem wybucha gwałtownym, nerwowym śmiechem, który nagle się urywa. Nie wiemy, co to wszystko znaczy. Mijają sekundy pełne napięcia. I wtedy dochodzą nas słowa, jakby dowód odzyskanego człowieczeństwa, wypowiedziane przez esesmana łamiącym się głosem: „Ihr seid brave Maedchen... sie koennen die abholen. (dzielne jesteście dziewczyny, pozwalam wam ich zabrać).” Janka mrugnięciem i uśmiechem oznajmia mi zwycięstwo: „No, Baśka, pomóż.” Nasze przystawiamy do łóżka. W pierwszej kolejności zabieramy tego, który nam się wydaje najbardziej poszkodowany („Firlej”). Obie nogi ma unieruchomione, w bandażach - aż po uda, poza tym rękę „na szynie”. Ból fizyczny, jaki odczuwa przy najmniejszym poruszeniu, jest niczym wobec niedawnych przeżyć. Przenosimy go do szpitala na Długiej 7 i kładziemy na razie na jakimś zdobyczym materacu w bramie wychodzącej na Długą. Transport na pierwsze piętro zająłby zbyt dużo czasu. Trzeba się spieszyć po resztę, póki się Niemcy nie rozmyślą. Pozostało jeszcze dwóch. Żaden nie chce być ostatni. Nie pomagają nasze zapewnienia, że przyjdziemy na pewno jeszcze raz, że nikogo nie zostawimy. Podczas gdy jednego wynosimy na noszach, drugi, ranny w kolano, zrywa się ze swojego materaca, wieszka się na moim ramieniu i tak kuśtykając na jednej nodze, podąża razem z nami do szpitala na Długiej. Tam ogarnia nas nieprzeparta chęć zobaczenia się z naszymi kolegami z „Wigier”.

Chociaż wpaść na chwilę, dowiedzieć się, czy czego nie potrzeba, uspokoić, że jesteśmy w pobliżu. Leżą na I piętrze. Wisia nie odstępuje ich na moment. Obie sale z oknami od dziedzińca są wypełnione rannymi. Wolnego miejsca prawie nie ma. Trzeba ostrożnie mijać leżących, aby kogoś nie potrącić. Chłopcy są spokojni i opanowani. Jedynie szesnastoletni Tadzio „Klecha” nie potrafi się maskować. Z rozbieganych oczu wзира strach. On tak bardzo chciał iść kanałami do Śródmieścia. „Stasiuk”, „Robert”, „Ikar” są starsi, mają ponad 20 lat i jakieś takie doświadczenie okupacyjne. Są zahartowani. Na nasz widok próbują się nawet uśmiechać. Przykłąkamy na moment u ich noszy. Jesteśmy zziębnięci, zasmolone sadzami, rozkołtunione. Widzą nasze zmęczenie. Zachęcają do odpoczynku.

Tłumaczymy, że niedługo wrócimy, ale na razie czeka nas jeszcze trochę roboty. Uspokajamy, że wszystko w porządku. Zaprzeczamy pogłoskom o pojedynczych wypadkach rozstrzeliwania. Wydaje się, że po naszych odwiedzinach są nieco podniesieni na duchu.

Przebiegamy dziedziniec szpitala. Wychodzimy na Podwale. Trudno przecisnąć się przez tłum ludności cywilnej, która bez przerwy „wali” tędy, gdzieś od Rynku w kierunku Placu Zamkowego. Ulica jest wyboista, zasłana gruzami; przy wąskich przejściach tworzą się zatory.

Przed szpitalem, w leju po bombie, spostrzegamy dwie staruszki, siedzące obok swoich tobołków. Widocznie wpadły tam i nie mogą się wydostać. Trzeba im pomóc. Babiny są ubrane w jakieś czarne, jedwabne suknie z koronkami. Na głowie mają ogromne kapelusze, jeden przybrany woalką, drugi fioletową jedwabną wstążką. Widocznie to ich najlepsze stroje, które żal było zostawić. Może dobre do teatru, ale tutaj? Obrazek jest tak zaskakujący w zestawieniu z tłumem wynędzniałych, obdartych ludzi, brnących przez rumowiska płonących ulic, że aż pobudza do wesołości. Babiny są przerażone. Pomagam wstać jednej z nich. Ledwo trzyma się na nogach. Chwyta za toboły i z powrotem siada. Drugą podnosi Janka. Ta sama historia. Nie są w stanie udźwignąć nawet części swoich rzeczy. Dziwimy się, jakim cudem je tutaj doniosły. Mimo naszych protestów i tłumaczeń nie chcą niczego porzucić. Zostawiamy je własnemu losowi. Nie mamy czasu dłużej kramarzyć się.

Czekają nas ranni, których trzeba ratować z palącej się oficyny domu na Kilińskiego 3. Ogień dociera tam do pierwszego piętra. W piwnicach jest jeszcze kilkunastu harcerzy z bat. „Gustaw”, a w sąsiednim domu trzy osoby, między nimi sanitariuszka „Kozak” z amputowaną nogą. Ta ostatnia w bardzo kiepskim stanie na skutek zakażenia tęzczem. Dojście do niej jest zawiłe, poprzez kręte, ciemne korytarze, opustoszałe piwnice. Na szczęście napatoczył się jakiś podoficer Wehrmachtu z latarką; oświetla nam przez moment drogę. W jednej z piwnic, z częściowo rozwalonym stropem, przez który sączy

się światło, spostrzegamy uwiązane psa. Niemiec uwalnia go ze smyczy, cmoka. Pies nie rusza się z miejsca. Trudno, niech zostaje. Pierwsze trzy osoby pozostawiamy w bramie domu na Kilińskiego 1 wychodzącej na Podwale. W następnej kolejności wynosimy chłopców od „Gustawa”. Leżą w piwnicach oficyny. Wychodzi nam naprzeciw ich sanitariuszka, którą spotykamy na schodach. Z podwórka schodzimy w dół. Zapalona zapałka oświetla mroczne wnętrza. Piwnice, jedna za drugą, ciągną się wzdłuż długiego korytarza. Po drodze wywalam się przez jakieś zdradzieckie, niespodziewane schodki. Ranni, pozostawieni wśród najgłębszych ciemności, zachowują grobowe milczenie. Nie chcą zdradzić swojej obecności przed Niemcami. Dopiero po chwili, słysząc nasze nawoływania, odzywają się. Zjawienie się polskich sanitariuszek w białych fartuchach, z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawie, traktują, jako wybawienie. Każdy chce jak najprędzej dostać się do szpitala. Obchodzimy wszystkie piwnice, aby sprawdzić, ilu ich jest. Okazuje się, że kilkunastu. Wszyscy ciężko ranni - z postrzałami brzucha, nóg, piersi. Jednym słowem, ci, którzy nie mogli być ewakuowani do Śródmieścia. Wynosimy ich po kolei. Prawie po omacku układamy na noszach. Zapałki zapalają się i zaraz gasną. Zdarza się, że chwytny właśnie za zranioną kończynę. Dochodzi nas wtedy syk bólu, a czasem przekleństwo. Staramy się jak najmniej urażać, ale czy to jest w tych warunkach w ogóle możliwe? Na szczęście Niemiec z latarką znowu zjawia się w pobliżu i tym razem nie odmawia pomocy.

Najcięższe do przejścia są schody. Podczas gdy pierwsza idzie prawie przygięta do ziemi, druga stara się windować rannego jak najwyżej, aby nie zsunął się z noszy. Za którymś razem, właśnie kiedy jestem w połowie biegu, czuję, że mi coś pęta nogi. Ostatnim wysiłkiem łapię równowagę. Janka dezorientowana, nie wiedząc, co się dzieje, miota przekleństwa, ja również. Okazuje się, że pękły mi oba ramiączka od koszuli i to było przyczyną, że o mało nie zwałam się z rannym w dół.

Rannych układamy wprost przed wejściem do budynku, na usypisku gruzów. Nie ma czasu na transportowanie każdego z osobna do

szpitala. Trzeba się spieszyć, gdyż ogień rozprzestrzenia się coraz bardziej. Pali się już pierwsze piętro. Dym kotłuje się nad leżącymi, iskry sypią na ich głowy. A oni, w okrwawionych bandażach, w bieliźnie, niektórzy do połowy nadzy, nawet nie proszą o pomoc... sami próbują sięczołgać, byle dalej od nieznośnego żaru. Jedni podciągają się na łokciach, drudzy w jakiś inny sposób popychają ciało... jak kto może. Są między nimi piętnasto- i szesnastoletni chłopcy, dzieci prawie.

Serce się łamie na ten widok. Cóż za ogrom ludzkiego nieszczęścia. Ale Niemców to nie wzrusza. Natrzęsają się z nich, wymachują pistoletami, wymyślają od bandytów. Na razie nie strzelają. Może ich powstrzymuje nasza obecność? Po kolei, częściowo na kocach, częściowo na noszach, przenosimy wszystkich do bramy na Kilińskiego 1. Stąd do szpitala już niedaleko. Ten ostatni etap wydaje się nam najłatwiejszy, mimo że jesteśmy nieludzko zmęczone. Czujemy drżenie wszystkich mięśni, ręce mamy chyba powyrywane z „zawiasów”, dłonie popuchnięte od dźwigania. Serce wali jak młotem, podchodzi do gardła, zatyka oddech. Nie odzywamy się prawie do siebie.

Ale cóż to? Widzimy poprzez bramę wychodzącą na Podwale, idących od strony szpitala lekarzy i rannych mogących jako tako iść, prowadzonych przez sanitariuszki. Jesteśmy zdezorientowane. Nie spodziewaliśmy się tego. Nikt nie potrafi nam odpowiedzieć na pytanie: dokąd? dlaczego? W grupie idących dostrzegamy „Wisię” z rannym „Ikarem”, który jedną ręką wspiera się na jej ramieniu, drugą na szcztocie do zamiatania. „Wisia” jest wystraszona. Powtarza w kółko: „Nic nie wiem, nie rozumiem... biegnijcie ratować tamtych... oni zostali w szpitalu.” Słyszymy pojedyncze strzały, krzyki dochodzące z pierwszego piętra. Nie ulega wątpliwości, że to egzekucja. Z trudem udaje się nam przedrzeć na dziedziniec szpitala. Panuje tu nieopisane zamieszanie, zgiełk wśród pozostałych jeszcze rannych i personelu. Dobiegamy do klatki schodowej prowadzącej na pierwsze piętro. U jej wylotu kilku Niemców z pistoletami. Wśród nich kobieta w białym fartuchu, rozpostartymi rękami i stanowczym głosem broni nam wstępu: „Tam wchodzić nie wolno.” Jesteśmy wściekłe właśnie na nią. Przecież to Polka, dla-

czego nas zatrzymuje? (Znacznie później zrozumiemy, że chciała nas uchronić od niechybnej śmierci, ale wtedy, ogarnięte rozpaczą, nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy). Ach, te nieznośne pojedyncze strzały!

Za wszelką cenę musimy się dostać do naszych chłopców. Niemcy nie chcą słyszeć o puszczeniu nas na górę. W pobliżu spostrzegamy jakiegoś wyższego oficera, lat około czterdziestu, w nienagannym, eleganckim mundurze. Janka zwraca się do niego po niemiecku. Tłumaczy, że chcemy ratować swoich najbliższych, z rodziny i... wywołuje tym atak furii. Z ust zapienionych dobywają się wymysły, groźby: „wy też będziecie rozstrzelane, u was kobiety, a nawet dzieci donosiły broń tym bandytom... wszyscy tu powinni być rozstrzelani...”.

Wypadamy na Podwale. Po drodze czyjeś błagania o pomoc. Jeszcze nie teraz...

W bramie na Kilińskiego 1 spostrzegamy tego samego podoficera Wehrmachtu, który z zapaloną latarką przemierzał z nami ciemne piwnice w poszukiwaniu rannych. Okazana przez niego wówczas życzliwość dodaje nam teraz odwagi. Prosimy o pomoc w ratowaniu naszych bliskich pozostawionych w szpitalu. Janka obiecuje mu złotą bransoletkę. Niemiec ociąga się, może nie wierzy, aby mógł nam pomóc, a może nie chce się narazić? Tymczasem za parę minut będzie za późno. Nie dajemy za wygraną... prowadzimy go siłą... Janka popycha od tyłu, ja ciągnę za rękawy munduru. Początkowo się opiera, aż wreszcie, już bez wahania, idzie sam.

Przy wejściu do szpitala zatrzymującym nas Niemcom tłumaczy, że idziemy razem z nim. Przepuszczają. Musimy przeciskać się przez tłum wychodzących, kuśtykających, czołgających się rannych. Na dziedzińcu niebiesko od mundurów. Widocznie na rozkaz spędzono tu prawie wszystkich żołnierzy. Nie dostrzegamy między nimi rannych. Jeszcze przed paroma minutami było ich tu pełno. Rozlegające się strzały są nie do zniesienia. Staram się wyłączyć swój wzrok i słuch. Nic nie widzieć, nic nie słyszeć... Jak najprędzej przejść duże podwórze, aby dotrzeć

na pierwsze piętro. Zatrzymujemy się w bramie od ulicy Długiej. Towarzyszący nam podoficer podchodzi do grupy żołnierzy stojącej na dole u wejścia. Pertraktuje z nimi. Obserwujemy go z daleka, stojąc z boku. Nie mamy odwagi podnieść oczu, gdy zwraca się do nas ze słowami: „Tam już nie ma po co iść”.

Nie żyją! A jeszcze przed dwiema godzinami zapewnialiśmy: „bądźcie spokojni, nie zostawimy was... dopóki jesteśmy przy was, nic złego stać się nie może...” Zbytняя zarozumiałość czy naiwna wiara w przychylność losu? Załamanie, które spada na nas w jednej chwili, jest tym większe, im większa była poprzednia wiara w to, że zdołamy ich uratować. Długo nas będą jeszcze dręczyły wyrzuty sumienia, żeśmy straciły ostatnią tego szansę.

Nie mamy siły iść, nogi są jak z waty. Zataczamy się jak pijane, potykamy. W przejściu na Podwale spotykamy Ojca Tomasza; czepiamy się jego ręk, szukamy pomocy, otuchy, ratunku. Ale on też jest załamany i tak jak my powtarza w kółko nieprzytomnie: „To straszne, to nie do zniesienia.” Znakiem krzyża czynionym w powietrzu udziela absencji umierającym.

A przed nami, na ulicy zasłanej gruzem - ranni. To ci, którzy wyszli o własnych siłach ze szpitala, ale już dalej iść sami nie mogą. Ci, których wyniesiono w pośpiechu z płonących domów i tak pozostawiono. Ranni czołgają się, czepiają się nóg, wyciągają ręce. Ojciec Tomasz kogoś podnosi. Janka chwyta od kogoś małą dziewczynkę z amputowaną rączką. Ja nawet nie próbuję podać ręki. Jestem zupełnie oziębiała, nie mam sił. Zresztą po co? Tuż o parę metrów, u wylotu Wąskiego Dunaju rozszalali Niemcy dobijają rannych, wrywając ich z rąk prowadzących sanitariuszek. Ach, żeby wreszcie był koniec tej męki! Nagle widzę, jak z domu naprzeciwko wybiega starszy, już siwy mężczyzna, niosąc na rękach młodą dziewczynę, widocznie porwaną wprost z łóżka, bo półnaga, okręconą prześcieradłem, z szerokim przekrwionym opatrunkiem na piersiach. Dźwiga ją ostatkiem sił. W oczach maluje się rozpacz, błaganie o pomoc. Podbiegam do niego. Splatamy nasze dłonie i na ten zaimprovizowany stołeczek sadzamy ranną, niosąc ją w

kierunku Placu Zamkowego. Dziewczyna mdleje nam kilkakrotnie, zsuwa się z ramion; musimy się zatrzymywać, cucić ją biciem po twarzy. A Niemcy wciąż naglą do pośpiechu, dobijają opiesziałych, innych palą żywcem, puszczając z miotaczy płomienie.

Na Placu Zamkowym opada nas banda Własowców. Rabują co się da. Zrywają złote łańcuszki, ściągają obrączki, zabierają zegarki. Nie ma wśród nas, ostatnich niedobitków Starówki, nikogo, kto by poza własnym życiem i nielicznymi drobiazgami, wynosił cokolwiek ze swojego mienia. Na Placu Zamkowym widzę po raz ostatni ojca Tomasza. Potem nagle zniknął mi z oczu i sądziłam, że tutaj właśnie go zamordowano. Z Placu Zamkowego pędzą nas Mariensztatem w dół, w kierunku Wisły. Wzdłuż trasy stoją posterunki Ukraińców. Jeden z nich pokazuje coś drugiemu, wymachując pistoletem. W pewnej odległości widzę młodą kobietę, niosącą na plecach o głowę wyższego od siebie mężczyznę. Zgięta wpół, trzyma go za ręce... nogi w bandażach po uda zwisają bezwładnie. Musi przystawać, podrzucać ciało, które zsuwa się z pleców; wtedy ręce rannego zaciskają się nerwowo na jej szyi, tamują oddech. Poznają... to Janka i „Ikar”. Ukraińiec podchodzi kilka kroków, pistolet maszynowy trzyma w rękach, jakby się szykował do puszczenia serii w ich kierunku. A oni idą tak wolno... tak strasznie wolno... Nagle znikają za zakrętem. Już ich nie widać. Tym razem udało się.

Z Mariensztatu skręcamy w ul. Sowią, następnie w Bednarską. Ten odcinek pod górę jest najcięższy. Potykam się co chwila, zataczając. Z wielkim trudem dźwigam ranną. Z konieczności muszę nadażać za jej ojcem, który dobywa z siebie nadludzkie siły, aby ją ratować. U wylotu Bednarskiej na Krakowskie Przedmieście jakiś Niemiec coś krzyczy, wymachuje w naszym kierunku. Nie wiem, o co chodzi. Zatrzymuje nas. Wyciąga z szeregu jakiegoś młodego mężczyznę, wzburzony pokazuje na mnie i każe mu dźwigać ranną.

Opodal w klasztorze Karmelitów jest szpital, skąd podobno ewakuują rannych samochodami poza Warszawę. Czy to prawda?... Po tym, co widzieliśmy na Długiej...

Skupiamy się na placyku koło kościoła Karmelitów. Przed nami kilkunastu Kałmuków. Pistolety maszynowe zwrócone w naszą stronę. Głupie uczucie, jak przed egzekucją.

Poszukuję Janki, „Wisi”, „Ikara”, p. Faryaszewskiej. Nie ma ich nigdzie. Musieli zdecydować się iść dalej, na Wolę, za ludnością cywilną. Może uda mi się ich dogonić? Przebiegam Krakowskie Przedmieście. Podobno powstańcy strzelają wzdłuż tej ulicy, od Pałacu Staszyca. Na Placu Saskim zatrzymuje mnie kilku Kałmuków. Zagadują po rosyjsku. Po białym fartuchu z opaską Czerwonego Krzyża domyślają się, że byłam sanitariuszką, pomagałam „bandytom”.

Proponują, żebym u nich została na służbę. Zaczyna mnie otaczać coraz większa grupa żołnierzy. Trudno mi się przez nich przebić. Wreszcie jakiś oficer niemiecki roztrąca ich ręką i ostro nakazuje mi iść dalej. W Ogrodzie Saskim natykam się na jakieś starowiny odpoczywające w trawie. Przysiadam obok nich na chwilę. Czuję ogromne zmęczenie, wyczerpanie do ostatnich granic. Nadeszła reakcja po strasznych przeżyciach. Uświadamiam sobie, że właściwie już nikomu nie jestem potrzebna, bo ci, których ratowałam, i tak zostali wymordowani. I jednocześnie nagle zjawia się instynkt życia. Dość mam widoku śmierci, dość uczucia strachu, dość się tutaj napatrzyłam tragedii, dość cierpień, a co najstraszniejsze, ludzkiego zezwierzęcia. Chcę jak najprędzej wydostać się stąd, z tego piekła... póki mnie gdzie po drodze nie zakatrupią. Zrzucam z siebie biały fartuch - niech mnie nie pomawiają o współdziałanie z „bandytami”. Pomagam wstać staruszce, biorę ją pod rękę - może nie będą mieli odwagi zatrzymać mnie po drodze?

Wleczemy się noga za nogą. Starowina nie może iść szybciej, a mnie to tempo w zupełności odpowiada. Elektoralna, Chłodna, Wolska... Wszędzie ruiny, zgliszcza, ani jednego ocalałego domu. Umarłe miasto, pustkowie. To niemożliwe, aby tu kiedykolwiek mogło wrócić życie.

Wzdłuż trasy posterunki żandarmów, Ukraińców, Kałmuków. Niektórzy powystawiali na ulicę krzesła, fotele, stoły. Siedzą przy nich, popijają piwo, oranżadę. Na ten widok pragnienie wzbiera jeszcze bar-

dziej. Upał jest nieznośny. Przecież od 24 godzin nie miałam wody w ustach.

Na rogu Chłodnej i Wroniej siadamy na krawężniku chodnika. Odpoczywamy. Dzielę się z babcią zdobytą szklanką wody.

Szklankę zwracam jednemu z żołnierzy. Zagaduje mnie. Pokazuje w kierunku sąsiedniej bramy, tak jakby chciał, abym za nim poszła. Trudno mi go zrozumieć, mówi coś o jeńcach - powstańcach. Idę za nim cały czas mając go na oku. Zaglądam na podwórze. Pusto. Zatrzymuję się. Nagle czuję, że ktoś od tyłu chwyta mnie pod łokcie. Opieram się całą siłą. Dwóch się teraz ze mną szamoce. Chcą mnie wciągnąć do środka, oderwać od żelaznej bramy, której się uczepiłam kurczowo. Nie dają rady. Krzyczę rozpaczliwie: „Nie, nie pójdę tam!” - Ustępują. Puszczają mnie ze śmiechem. Dobiegam do siedzącej babci. Podnoszę ją z ziemi. Idziemy dalej.

Mijają nas samochody, wozy konne wiozące rannych, starców w kierunku Woli. Na jeden z nich wpycham moją staruszkę, która już ledwie ciągnie nogi. Dalej idę sama. Przyspieszam kroku. Kiedy docho-
dzą do kościoła Św. Wojciecha na Woli, jest już ciemno. Ludzie skule-
ni, posiadali na posadzce. Dużo tu kobiet i dzieci. Między nimi wałę-
sają się Ukraińcy, esesmani. Nie podoba mi się tutaj. Wychodzę na ze-
wnątrz. Nie znajduję nigdzie ani Janki, ani „Wiśki”.

Uwagę moją zwraca spora grupa ludzi przed bramą. Ustawieni w czwórki przygotowują się do wyjścia. W rękach trzymają dokumenty. Mówią wyłącznie po rosyjsku. Domyślam się, że to Rosjanie tzw. „bia-
li” - uznani w czasie wojny za sprzymierzeńców niemieckich. Postana-
wiam wymknąć się z tą grupą. Korzystam z nieuwagi żandarma sprawdza-
jącego dokumenty przy bramie i obchodzę go bokiem. Kierują nas na ul.
Wolską. Za wiaduktem skręcamy w lewo, w stronę Dworca Zachodniego.
Perony zavalone ludźmi wypędzonymi z różnych dzielnic Warszawy. Ocze-
kują na transport do Pruszkowa. Plączę się między nimi, szukając zna-
jomych, bliskich. Czuję się strasznie samotna w tym tłumie takim ob-
cym i obojętnym. Myślę o rodzicach, o siostrze. Pozostali po drugiej

stronie Wisły, na Saskiej Kępie. Co też się z nimi teraz dzieje? Próbuję nawiązać rozmowę. Przysiadam się do jakiejś młodej kobiety w zaawansowanej ciąży. Jest tu ze swoją matką. Kiedy podstawiają pociąg, pomagam im załadować liczne toboły do wagonu. Sadowię się w tym samym przedziale, co one. Noc jest chłodna. Dreszcze mną trzęsą. Młoda kobieta podaje mi płaszcz, abym się nim okryła. Matka jej jest z tego bardzo niezadowolona; bąka coś pod nosem, że one we dwie dadzą sobie radę same, nie potrzebują niczyjej pomocy. Pociąg zatrzymuje się w Pruszkowie na terenie fabryki. I tutaj, tak jak na Dworcu Zachodnim, tłumi ludzi. Nie opuszcza mnie myśl o odszukaniu Janki i „Wisi”. Opo-
dal spostrzegam w mroku wóz konny załadowany rannymi. Przecież ten wóz wskaże mi drogę do baraku szpitalnego, a tam z pewnością odnajdę swoje koleżanki, panią Faryaszewską, „Ikarą”. Pożyczony płaszcz oddaję właścicielkom, sama kieruję się w stronę wozu, który powoli rusza. Załadowany jest po brzegi. Idąc z tyłu muszę podtrzymywać jakąś starowinę, która siedzi na samym brzeżku. W pewnym momencie zsuwa mi się w ramiona. Woźnica wstrzymuje konie. Ładuję z powrotem kobietę na wóz i korzystając z okazji, sama sadowię się obok niej.

Zatrzymujemy się przed dużą halą fabryczną. Tutaj gromadzą rannych, sanitariuszki, chorych i starców. Jest ciemno, gdzieś tam palą się ogarki świec, od czasu do czasu błysnie światło zapałki. Ludzie pokładli się na betonie, inni szwendają się jeszcze tam i z powrotem, szukając wolnego kąta do spania. Ja również przycupnęłam pod ścianą, ogarniając rękami kolana, drzemie. Dochodzi mnie nagle jakby głos Janki. Z początku wydaje mi się, że to sen. Nadstawiam ucha, słyszę jej śmiech; donośny, charakterystyczny. Jakkolwiek trudno coś dostrzec w tych ciemnościach, idę za głosem. Tak, rzeczywiście, to Jan-
ka i „Wisia” taszczą płyty wiórowe na posłanie. Jest i ciocia Faryaszewską, jest i „Ikar” i jeszcze jakiś ranny chłopiec, którego nie znam. Padamy sobie w objęcia. Płaczymy z radości. Ciocia Faryaszewską mówi: „Basiu, tak bardzo się bałam o ciebie, gdy się zgubiłaś... Widziałam, jak Niemcy i Ukraińcy wyciągali z szeregu młode kobiety... Jak dobrze, że jesteś z nami”. Tak... dobrze jest w takich chwilach znaleźć się wśród wypróbowanych przyjaciół.

Od Wisi dowiaduję się, jakie były koleje losu jej i „Ikara” od momentu wyjścia ze szpitala na Długiej 7.

Było dobrze po południu, gdy Niemcy kazali całemu personelowi zgromadzić się na dziedzińcu. Przypuszczano, że zostaną wydane jakieś polecenia. „Wisia”, która była cały czas przy rannych na pierwszym piętrze, nie zeszła na dół. Z okna obserwowała, co się dzieje na podwórzu. Stopniowo zapełniało się ono łżej rannymi. Zgromadził się również, prawie w komplecie, personel szpitalny. W pewnym momencie ta grupa ludzi zaczęła przygotowywać się do wyjścia. „Wisia”, tknięta złym przeczuciem, zbiegła na dół. Tutaj dowiedziała się, że Niemcy kazali wszystkim opuścić szpital i pozostawić ciężko rannych. Ale dlaczego? I co dalej? Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć. Tego można się było domyślać. „Wisia” wbiegła z powrotem na górę. Niestety, przy wejściu na salę pierwszego piętra stał już Niemiec i nie chciał jej przepuścić, zagradzając drogę pistoletem. Odepchnęła go ręką. Lufa pistoletu rozdarła jej fartuch, drasnęła ciało, ale Wisia już była w drzwiach, dopadła do chłopców, chwyciła pierwszego z brzegu „Ikara”, a na pytania reszty odpowiadała, że będzie ich wszystkich po kolei sprowadzać na dół. „Ikar”, ranny w obie nogi, szedł z trudem. Ale strach dodawał sił, a „Wiśka” całą mocą podtrzymywała ciało. Po drodze chwyciła szczotkę do zamiatania, na której wsparł się zdrową ręką.

Esesman, ten sam, który przed chwilą grodził dziewczynie drogę pistoletem, teraz usunął się z przejścia. Zaimponowała mu swoją odwagą. Gdy wbiegała drugi raz na górę po resztę kolegów, zastała na półpiętrze całą grupę Niemców. Tym razem było za późno. Zorientowała się, że sama nie da rady, a Jankę i mnie spotkała dopiero w bramie na Kilińskiego 1, wśród rannych. Sama dotaszczyła „Ikara” do Mariensztatu. I tam „Ikar” załamał się. Oświadczył, że dalej nie pójdzie. Ból poranionych nóg był nie do zniesienia. Nie pomagały nalegania „Wisi” ani świadomość grożącej śmierci. Wybawienie przyszło niespodziewanie w osobie Janki. Na Placu Zamkowym ktoś z rodziny odebrał od niej małą dziewczynkę, którą niosła. Wtedy pobiegła naprzód, za grupą rannych,

spodziewając się, że wśród nich znajdzie „Ikara” i „Wisię”. Nie mogli zejść daleko. Rzeczywiście, dostrzegła ich siedzących na rumowisku ulicy Mariensztat. „Ikar” był całkowicie zrezygnowany. Zbliżali się Niemcy. Szli od Kościoła św. Anny z miotaczami płomieni. Inni z pistoletami. Wzdłuż ulicy siedzieli ranni, którzy nie mieli siły iść dalej. W pewnej chwili błysnął płomień puszczony na tych, co pozostali w tyle. Janka zerwała się, zaczęła szukać jakiegoś kija, żeby zrobić nosze ze swego kitla, ale nic w gruzach nie znalazła. Trzeba było jak najszybciej uchodzić. Nie było chwili do stracenia; wzięła „Ikara” na plecy. Zdobyła się na wysiłek, w który trudno uwierzyć - niosła go sama Marienszatem, Sowią, Bednarską, pod górę, poprzez Plac Saski, Ogród Saski, Elektoralna, Chłodną. Minęli Żelazną. Dopiero tam natrafiła na jakiś wózek załadowany rannymi, na który wtłoczyła „Ikara” siłą, za cenę pchania tego wehikułu, wspólnie z „Wisią”, aż do Dworca Zachodniego.

Ta dziewczyna w ciągu ostatnich kilku dni i nocy wydzwigała na noszach ponad trzydzieści osób! Prawie nie spała, nie jadła, bo nie było kiedy. Skąd w niej wzięło się jeszcze tyle siły?

Budziła sensację nawet wśród Niemców, którzy ją fotografowali.

W obozie w Pruszkowie znalazłyśmy się 2-go września wieczorem, a już 3-go września po południu byłyśmy poza jego granicami, „Ikar” i „Wisia” pojechali do szpitala do Tworek. Jankę, ciocię Faryaszewską i mnie - niemiecka komisja lekarska (m.in. dzięki polskim pielęgniarkom) - zaliczyła do grupy rannych i ciężko chorych, przeznaczonych do zwolnienia z obozu. Tak więc, zamiast w obozie koncentracyjnym jak niemal wszyscy ze Starówki, znalazłyśmy się na wolności. Ciocia Faryaszewską udała się do swoich znajomych, państwa Grochowskich, na ul. Drzymały 4, natomiast my z Janka na nocleg do baraku R.G.O.

Po wyjściu z obozu w Pruszkowie zastukałam do jakiegoś mieszkania z prośbą o bieliznę osobistą. Miałam na sobie tylko letnią sukienkę oraz przydługą płaszcz popelinowy. Właścicielka mieszkania odpowiedziała, że nic takiego dać mi nie może, bo sama ma uciekinierów z

Warszawy, których musi odziać. Zza jej pleców niespodziewanie wychyliła się twarz mojej koleżanki z gimnazjum. Była to Fema Szatkowska. Od niej dowiedziałam się, że straciła męża w Powstaniu, a sama została wypędzona z Warszawy z kilkutygodniowym dzieckiem, tak jak stała. Była zatroskana, że mi nic nie może ofiarować. Uściskałyśmy się serdecznie i pożegnały. Następnego dnia rano Fema odnalazła mnie w R.G.O., przyniosła bochenek chleba i komplet bielizny uszyty nocą w rękę z pieluszek swojego dziecka. Byłam bardzo wzruszona. Przed południem w baraku R.G.O. zjawiła się córka p. Grochowskich, przysłana przez ciocię Faryaszewską i zabrała nas do mieszkania swoich rodziców. Wydawało się, że jesteśmy w raju. Po miesięcznej poniewierce - możliwość umycia się, łóżka z czystą pościelą, wspaniały obiad na stole nakrytym obrusem - to był prawdziwy szok. Spotkałyśmy się z atmosferą niesłychanej dobroci i życzliwości.

A mimo wszystko wracają koszmarne wspomnienia, tragiczne obrazy jawią się przed oczami i w dzień, i w nocy. Obie dostajemy wysokiej temperatury. Jesteśmy zupełnie pozbawione sił, obojętne na wszystko, co nas może spotkać. Toteż, gdy następnego dnia do mieszkania wkraczają Niemcy w poszukiwaniu Warszawiaków, nie próbujemy nawet zwlec się z łóżek, uciekać tylnymi drzwiami do ogrodu. Sprawdzają nasze kennkarty. Każą wstawać. Nie pomagają nasze tłumaczenia, że dopiero co, zostałyśmy oficjalnie zwolnione z obozu w Pruszkowie, jako nienadające się do pracy. Państwo Grochowscy na gwałt kompletują jakąś garderobę, szykują paczkę żywnościową na drogę. Głęboko chowamy ofiarowane przez ciocię Faryaszewską pieniądze: „na wszelki wypadek, żebyście nie zostały bez grosza... może i moim dzieciom, o których nic nie wiem, ktoś przyjdzie z pomocą.”

Wychodzimy z mieszkania pod eskortą. Dokąd? Nie wiadomo. Cztery doby bydlęcymi wagonami, z garścią rozrzuconej słomy na podłodze, jechałyśmy do Wrocławia.

Po drodze, na polskich terenach, ludzie donosili nam do pociągu wodę, pomidory, cebulę, czasem chleb.

We Wrocławiu przebywałyśmy w obozie pracy. Zatrudniono nas w „Famo-Werke”. Już po pierwszym tygodniu pobytu zaczęłyśmy planować ucieczkę. Do głowy przychodziły najrozmaitsze pomysły. Wreszcie 28 października rano wyruszyłyśmy pociągiem do Katowic, mając bilety wykupione tylko do Opola. Złapano nas. Przekazano na gestapo w Opolu, a potem odesłano z przepustką z powrotem do obozu we Wrocławiu.

Od rodziców nie miałyśmy żadnych wiadomości. Początkowo jedyne kartki, jakie docierały do nas do obozu, to były kartki od cioci Faryaszewskiej: „Kochane dziewczuszki! Bardzo mi przykro, że nie mogłam Wam przez wskazaną okazję przysłać paczki. Na drugi dzień jednak po otrzymaniu Waszego listu już transporty z tej firmy przestały iść - i wojsko zajęło ten teren. Szczoteczki dwie i ładny grzebień czekają, więc - może poczta przyjmie paczkę. Ucieszyłam się serdecznie z Waszego listu. Rada jestem, że choć Was nie rozdzielono i że jak słyszałam macie tam możliwe życie... Dzielne jesteście bardzo i przeżyłyście już wiele, jak na Wasze młodzińcze lata. Więc może dacie sobie i tam radę. Niepokoiłam się wciąż o zdrowie Basi - Szczęście, że choć trochę czegoś ciepłego stąd dostałyście. Ja leżę w łóżku, dlatego tak brzydko piszę. Z nogą było coraz gorzej - musiała być operowana - boli bardzo. Teraz się boję, że o kuli będę musiała iść przed siebie, gdy każą wychodzić nagle. Miałam wiadomość, że moja córeczka jest w Niemczech, wywieziona. Niestety bardzo daleko, do Hamburga. Była okradziona, więc bosa i głodna. Teraz już rodzina z Krakowa i Sosnowca wie o niej i opiekuje się nią. Nic mojemu dziecku pomóc nie mogę i serce moje boli i za nią, i za synem. Chciałabym zawsze mieć z Wami kontakt - bolesne tragedie nas złączyły. Pamiętajcie o swojej nowej cioci. Bogu Was polecam i mocno całuję obie kochane buźki. Ciocia Irena. 17.IX.44.”

Ciocia Irena jak mogła, tak starała się nam pomóc: podtrzymywała na duchu swoimi listami, przysyłała paczki, polecała swojej rodzinie w Sosnowcu i Krakowie.

Dużo dobrego doświadczyłyśmy od ludzi, często zupełnie nam obcych, z którymi zetknęłyśmy się po raz pierwszy w życiu. Jeżeli druga nasza

ucieczka z obozu powiodła się, było to również niemałą zasługą wielu życzliwych nam, serdecznych, a także odważnych ludzi. 10 grudnia idąc piechotą od Dulowej przez Krzeszowice i Radwanowice, przekroczyliśmy nielegalnie, „z duszą na ramieniu”, granice Generalnej Guberni przed wsią Brzezinki. Przyjął nas na nocleg, początkowo nie bez oporu, ze względu na „ryzyko” - sołtys wsi Brzezinki pan Księżyc. Dopiero, gdy przyznałyśmy się, że uciekamy z obozu we Wrocławiu, pokazałyśmy swoje obozowe legitymacje i poinformowałyśmy, że brałyśmy udział w Powstaniu Warszawskim - pan Księżyc otworzył ramiona, twarz mu pojaśniała: „Trzeba było od razu o tym powiedzieć”. Naniósł do chałupy słomy ze stodoły na posłanie. Pani Księżycowa przygotowała wspaniałą kolację i jeszcze wałówkę na drogę. (do Krakowa miałyśmy ok. 25 km) Pytaniom o Powstanie Warszawskie i aktualne nastroje panujące w Niemczech, nie było końca. Mimo zmęczenia i późnej pory, musiałyśmy opowiadać... opowiadać... aby zaspokoić ciekawość naszych gospodarzy. 12 grudnia 1944 dotarliśmy do Nowego Targu. Tam doczekaliśmy się wyzwolenia. Następnego dnia, 30 stycznia 1945, wyruszyliśmy na piechotę w drogę powrotną do Warszawy.

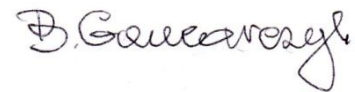
Zastałyśmy naszych rodziców we własnych, nieco zdemolowanych mieszkaniach; Janka na Grochowiu przy ul. Ossowskiej, a ja na Saskiej Kępie. Wiedzieli o nas tylko tyle, że miałyśmy swój punkt koncentracji na Starym Mieście; nie byli pewni, czy nas jeszcze kiedykolwiek zobaczą. Z niepokojem i zgrozą obserwowali z za Wisły, tonącą w ogniu i dymie Starówkę.

Już 11 lutego 1945r - następnego dnia po powrocie do Warszawy - byliśmy na Starówce. Szpital na Długiej 7 - spalony. Zwłoki rozstrzelanych, częściowo zwęglone - na dziedzińcu budynku, na parterze, w piwnicach. Pierwsze piętro, tam gdzie leżeli nasi koledzy z „Wigier”, zasłane warstwą gruzu do wysokości 1 m. (z zawalonych dwóch stropów i dachu) W bramie na Kilińskiego 1 - nadpalone zwłoki pozostawionych chłopców od „Gustawa”. Nie sposób nikogo zidentyfikować. A więc chyba nikt się nie uratował. Jeżeli... to tylko ten jeden, jedyny chłopak („Kruk”) od „Gustawa”, który leżał w kuchence na parterze oficyny

przy ul. Kilińskiego 3. Przeniosłyśmy go na Długą 7 do bramy. Janka twierdzi, że widziała go na terenie obozu w Pruszkowie... Ale czy był to rzeczywiście on? Chciałybyśmy mieć tę pewność, chociaż to jedno uratowane życie ludzkie byłoby nam nagrodą za poniesiony trud, który może nie poszedł na marne.

„Stasiuka”, „Klechę”, „Roberta” ekshumowałyśmy z Długiej 7 latem 1945, przy pomocy naszych kolegów „Zbycha” i „Nietykszy”. Zginęli na tym samym miejscu, na którym ich położyłyśmy. Po noszach pozostały tylko metalowe okucia, między nimi leżały zwęglone zwłoki. Przy „Stasiuku” znalazłyśmy gwizdek, spaloną legitymację, która rozsypała się nam w rękach, a także małe srebrne serduszko - dar narzeczonej. Siostra „Klechy” rozpoznała szczątki Tadzia po guzikach ubrania. Były też jakieś drobiazgi znalezione przy Robercie.

Przywrócone zostały matkom prochy synów poległych. Na cmentarzu są ich mogiły pokryte kwieciami. Tyle tylko mogliśmy dla nich zrobić.



**Barbara Gancarczyk, ps. „Pająk”,
sanitariuszka 2 plutonu Kompani Szturmowej batalionu Wigry**

Indeks osób występujących w relacji Barbary Gancarczyk-
Piotrowskiej z Batalionu „Wigry”

1. Ewa - córka p. Faryaszewskiej. Zginęła na Starym Mieście ratując zabytki. Druga córka - Aluka, oraz syn Ludwik - walczyli w Śródmieściu
2. „Faliński” - Stefan Filipowicz
3. „Firlej” - Stanisław Bielański
4. „Ikar” - Jerzy Szymański
5. „Janka” - Janina Gruszczyńska-Jasiak
6. „Klecha” - Tadeusz Suski
7. „Kozak” - Halina Śliwińska
8. „Kruk” - Tadeusz Wegner
9. „Lot” - Andrzej Ołupczyński
10. „Nietyksza” - Zdzisław Niekrasz
11. „Robert” - Tomasz Russanowski
12. „Stasiuk” - Stanisław Olejnik
13. „Wisia” - Jadwiga Konopacka-Klimaszewska
14. „Zbych” - Zdzisław Skupień

B. Gancarczyk